

Wspomnienia Odrowąża-Pieniążka

Janusz Termer

Janusz Odrowąż-Pieniążek: Błagam, tylko nie profesor. *Wspomnienia i anegdoty.* Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2015, s. 272.

Lubimy podczytywać sobie takie książki; sprawne narracyjnie, lekkie i pełne niekłamanego stylistycznego wdzięku, sytuacyjnego dowcipu, pełne dystansu, łagodnej ironii, autentyczne w realiach, ale i nie stroniące od snobistycznych nieco ploteczek (anegdot), acz nie pozbawione przecież głębszych warstw sensów i znaczeń ogólniejszej natury. Zawierające mnóstwo osobistych wspomnień, życiorysowych okoliczności, sukcesów, ale i towarzyszących im niekiedy życiowych zadr. Dociekliwych i barwnych opowiadań z życia i innych, takich dickensowsko-pickwickowskich z ducha; ostrych niekiedy jak brzytwa, zawsze jednak pełnych taktu, humoru, dobrego smaku i kultury cechującej opowiadającego. Bo i ich autor, Janusz Odrowąż-Pieniążek, to nie byle kto, to postać od ładnych paru dziesięcioleci, ba, od ponad półwiecza, znana i lubiana oraz ceniona w rozmaitych środowiskach kulturalnych, zwłaszcza kręgach muzealnych i literackich Warszawy (był nawet przez parę lat prezesem SPP); człowiek bywały, wojażer po kraju oraz innych, nie tylko ościennych stronach świata...

J.O-P. (będę używał tego skrótu, dlatego że ładny!) zapracował sobie na tę sympatię i poważanie całą swoją postawą i działalnością. Dla wielu to sympatyczny znajomy, kolega, czasami szef, dla iluś tam przyjaciół, a dla wszystkich chyba prawdziwie spolegliwy „łącznik” pomiędzy ludźmi różnych „stanów i poglądów”, z wielu rozmaitych środowisk kultury, sztuki, nauki, a także i polityki się wywodzących... Zapracował na tę pozycję, życzliwość i zainteresowanie innych całym swoim żywotem i dokonaniem. Na przykład jako dociekliwy mickiewiczolog ze sporym dorobkiem, choć jest przecież tylko – z wyboru własnego – niedoszłym „uczonym akademickim”, badaczem literatury z tytułem „profesora kopertowego” (o czym sam pisze już na wstępie, autoironicznie i z przewrotnym humorem). Jest także cenionym prozaikiem, autorem kilku bardzo interesujących zbiorów opowiadań (*Opowiadania paryskie*, 1971, *Małżeństwo z Lyndą Winters albo Pamiątka po Glorii Swanson*, 1971, *Party na calle Guatemala*, 1973; pisałem o nich swego czasu, to wiem, co mówię). Był do niedawna długoletnim, odkąd pamiętam

(a swoje lata przecież mam), dyrektorem warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Jest nadal – i to chyba najmniej znana część jego aktywności – wiceprezesem Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Polskiej, SEC, i jej władz głównych z siedzibą w Wenecji (też to wiem, bom sam członkiem warszawskiego zarządu tegoż SEC).

Na czym jednak naprawdę polega fenomen owej ogromnie sympatycznej popularności J.O-P. oraz tajemnica jego długoletniego trwania i nieprzerwanego funkcjonowania w tak rozmaitych przecież politycznie (i w ogóle) epokach i czasach? Trudno byłoby to jednoznacznie określić i opisać; każdy mógłby tu wystąpić z własną teorią. Myślę, że tak po prostu określić się tego do końca nie da, bo rzecz niesłychanie złożona i delikatna, nawet psychologicznie. Jednym jednak z takich ważnych składników czy wyznaczników specjalnego – przyznamy to wszyscy – statusu, czyli pozycji J.O-P. w kulturalnym życiu polskim ostatniego ponad półwiecza jest, dla mnie, jego trafne rozeznanie pewnych koniunktur (w pozytywnym znaczeniu tego słowa) i tendencji kulturowych, społecznych i politycznych. Choćby owo, nie budzące specjalnych kontrowersji, dyrektorowanie Muzeum Literatury, zarządzanie placówką kulturalną – też zgodzimy się wszyscy – o historycznie, a i współcześnie, specjalnym znaczeniu dla naszej kultury narodowej. Działania i postawa J.O-P. potwierdzają to najpełniej. Był tego znaczenia gwarantem, zarówno dla środowiska, jak i dla władz z poszczególnych okresów naszej najnowszej historii politycznej, zwłaszcza przed 1989 rokiem (bo potem to różnie bywało, jak sam zresztą pisze z pewnym zakłopotaniem nieco przekąsem).

Co mam na myśli? Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, instytucja stateczna i godna ze wszech miar szacunku ze względu na swą nazwę, zadania i osobę Wielkiego Patrona, traktowana była zawsze przez kolejne ekipy rządzące, dawniejsze i obecne także, z należnym jej szacunkiem niewątpliwie, choć wydaje się, że

teraz z nieco mniejszym, bo i w ogóle kultura jest obecnie jakby, mówiąc delikatnie, w nieco mniejszym poważaniu. Ale też często to muzeum, jak cała kultura, były traktowane jako szczególnego rodzaju kwiatek do zgrzebnego kożucha (o jakim pisze sam J.O-P. jadący w Sztokholmie w swym garwolińskim kożuchu, w towarzystwie panów w cylindrach, na uroczystość wręczania nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi w 1980 roku). Oto bowiem troska o tę placówkę bywała, bywa nadal, czymś w rodzaju alibi czy też rodzajem swoistego kamuflażu, kryjącego w gruncie rzeczy – powiem to brutalnie i wprost – skrywany głęboko rodzaj braku zainteresowania polityków (różnego szczebla) dla tych kulturalnych środowiskowych „fanaberii”; zawoalowanego tym niezbyt kosztownym, ostentacyjnie deklarowanym „zainteresowaniem” dla takich jak ta instytucji kultury narodowej. Właśnie poprzez to wyróżnianie, okazywanie okazjonalnych łask i faworów. A nawet udzielanie swoistej pomocy poprzez nieprzeszkadzanie specjalne w działalności, jak w przypadku tej szacownej flagowej placówki literackiej w Polsce. Oraz – jednak nie zapominajmy – także realne wsparcie muzeum i osoby jej dyrektora poprzez naprawdę kosztowne niekiedy, „dewizowe” (w latach minionych), zakupy cennych, rozproszonych po świecie rękopisów, dzieł sztuki czy innych pamiątek związanych z osobą Mickiewicza czy jego epoką. Co zresztą sam dyrektor lojalnie podkreśla w swych wspomnieniach. Nie chcę przez to powiedzieć, że Muzeum Literatury byłoby takim samym znakomitym i rzeczywiście ważnym muzeum literackim, gdyby nie kierował nim przez tyle lat J.O-P. Bo wszystko to, co robiło to muzeum i co robi nadal (pod nieco innym już od paru lat kierownictwem) i tak wynikałoby niejako automatycznie z samego jego statusu specjalnej troski. Oczywiście, że nie chcę – a wręcz przeciwnie – pomniejszać roli czy podważać dorobku, kompetencji i wielorakich zasług dyrektora i zarazem autora tych pysznych, zebranych tutaj „wspomnień i anegdot”. J.O-P. to niewątpliwie

klasyczny przykład funkcjonowania właściwego człowieka na właściwym miejscu.

Zanim jednak do tych wspomnień i anegdot przejdziemy, oddajmy jeszcze głos należny ich autorowi, jako dyrektorowi Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, który wyklada swoją koncepcję jego istnienia i działalności w specjalnym programowym wyznaniu. Nie unika oczywiście i w innych zapiskach tutaj pomieszczonych mówienia o sprawach i problemach dotyczących tego tak ważnego w jego długim i owocnym życiu zajęcia, acz potem już nie roztkliwia się nad nimi szczególnie. Jeśli nie liczyć rzecz jasna, rozsianych po całym tekście książki, uwag wtrąconych przy podejmowaniu wątków muzealnych. Między innymi w portretach kilkudziesięciu znanych, najczęściej wybitnych postaci literatury i sztuki lub w opisach innych, bliskich mu licznych i ważnych dla niego „miejsc” i zdarzeń biograficznych (w tym konsekwencji rodzinnych) i towarzyskich czy podróżniczych przypadków (od Paryża po... Płowce!) oraz przy okazji przywoływania rozmaitych – jak je sam nazywa – „sytuacji”, na czele z owym śmiesznym i groteskowym rozdziałikiem zatytułowanym *Jakiś „Pan Tadeusz” oraz interwencja samego Mickiewicza*. Poświęca mu tylko ów jeden niewielki, acz ważny rzeczowy rozdziałik *W Muzeum Literatury*. Oto teraz miejsce na owe dyrektorskie słówko, czyli sformułowane wprost i znaczące wyznanie programowe tutaj pomieszczone, a pochodzące z tego „niewielkiego rozdziałiku”:

Wizytówką Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie pozostają jednakże od lat przede wszystkim organizowane przy rynku Starego Miasta 20 wystawy bądź pokazy towarzyszące rozmaitym wydarzeniom literackim. Można więc chyba przyjąć, że zasadą ekspozycji przygotowywanych przez nasze Muzeum jest interdyscyplinarne wspieranie literatury, pokazanie, jak piękny, ważny, niekiedy odkrywczy może być dialog literatury i pozostałych Muz,

nie zaś suchy wykład o jej historii czy samej biografii pisarza. Wystawy nasze adresowane są – prócz szkół i polonistów – do miłośników literatury i twórczości poszczególnych pisarzy. Stąd literacki, nie zaś historycznoliteracki charakter koncepcji naszych ekspozycji. Stąd również ideałem wydaje mi się wystawa-spektakl, która przemawia nie językiem informacji i lakonicznego komentarza, ale sugestywnością klimatów, gradacją dramaturgii, metaforą i symbolem.

Nie trzeba zatem dopowiadać, że wszystko to, o czym prawi J.O-P., to prawda i tylko prawda – dla tych, co bywali, bywają i bywać będą nadal na tych wystawach i imprezach warszawskiego Muzeum Literatury rzecz to oczywista (a ci, którzy nie bywali, niech żałują, a ci, którzy nie byli na promocji książki, o której tu mowa, niech żałują najbardziej, bo kto był, to w „części artystycznej” – „miód i wino pił”).

Jeśli zaś chodzi o innych bohaterów tych wspomnień J.O-P., to jest ich cała armia i nużącym zajęciem byłoby samo ich wymienienie. A proszę uwierzyć na słowo, że są to na ogół przeważnie same prominentne postaci, z którymi się autor spotykał tylko przelotnie lub zawodowo albo kolegował i przyjaźnił. Są to bez wyjątku ludzie patrzący już na nas z innych dalekich przestrzeni... Więc kto by chciał sprawdzić, czy o nim tam przypadkiem czegoś nie ma, będzie rozczarowany. Inni na pewno nie. Wśród poetów pojawiają się bowiem m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Julian Przyboś, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert; z prozaików – Witold Gombrowicz i Stefan Kisielewski; z kompozytorów – Zygmunt Mycielski, Tadeusz Baird czy Witold Lutosławski; z malarzy – Józef Czapski i Paweł (Paul) Maik; z badaczy literatury – Julian Krzyżanowski, Wiktor Gomulicki czy Stefan Żółkiewski; z krytyków literackich i teatralnych – Konstanty Puzyna; z tłumaczy francuskich – Paul Cazin czy Allan Kosko; z polityków – Stanisław Kot,

Józef Cyrankiewicz czy Edward Gierek i wiele także innych postaci i osób znaczących w innych jeszcze dziedzinach życia, jak na przykład słynny i zasłużony dla Polski „markiz” Eugeniusz Kucharski i nie mniej słynny kucharz wyborny o tym samym nazwisku – Władysław Kucharski czy kolekcjoner Jerzy Niewodniczański! A jest tu rzeczywiście sporo interesujących w lekturze i ciekawych dla przyszłych „badaczy obyczajów epoki” materiałów wspomnieniowych i anegdot. Autor bywa życzliwy, rozumiejący i wyrozumiały, ale jednemu ze swych „bohaterów” nie przepuścił – mianowicie Stefanowi Żółkiewskiemu (zwłaszcza temu z lat pięćdziesiątych, czasu pisania rozprawy *Literaturoznawstwo burżuazyjne*

epoki imperializmu w Polsce) dostało się mocno, naprawdę mocno, ale w puencie tekstu jest już cały J.O-P. Posłuchajmy:

Żółkiewski chodził w tę i na powrót ze swoją fają podsuwał temat do dyskusji. Był to okres pewnej popularności Teatru na Tarczyńskiej i sztuk Białoszewskiego. Jak zawsze dogmatycznie zapytał zebranych: – Co by robotnicy powiedzieli, jakby Białoszewskiego zobaczyli? – Na to głos z sali: – A co by robotnicy powiedzieli, jakby Żółkiewskiego zobaczyli? Riposta była wprawdzie *ad hominem*, ale jakże trafiona!